

Kuryer Poznański
 wychodzi codziennie z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych.
Redakcja:
 przy ulicy św. Marcina nr. 16.
Administracja i Ekspedycja:
 przy ulicy św. Marcina 16, w Drukarni Kuryera Poznańskiego.

KURYER POZNAŃSKI.

Przedpłata kwartalna
 wynosi w Poznaniu marek 7,50; na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i w Austrii marek 9,15; w innych krajach: cena poznańska z dołączeniem przesyłki.
Cena ogłoszeń
 wynosi 15 fenigów od drobnego siedmiodniowego wiersza. — Reklamy po 30 fen. od wiersza. — Przekład na język polski bezpłatnie.

Redaktor odpowiedzialny:

Czwartek, 20 sierpnia 1885.

NIKAZY GRUSZCZYŃSKI z Poznania.

AJENCYE KURYERA POZNAŃSKIEGO:

Rajchmann i Frencler, w Warszawie ulica Senatorska 22. — R. Mosse w Berlinie, Frankfurt a. M., Hamburgu, Lipsku, Monachium, Norymberdze, w Bazylei Dreźnie, Gdańsku, Halli n. S., Hanowerze, Genewie, Kamienicy (Chemnitz), Kolonii, Lubecie, Norymberdze. — Pradze, Strassburgu, Stuttgardsie, Wiedniu, Wrocławiu, Zurychu. — Haasenstein & Vogler: Havas Laffite & Comp. w Paryżu place de la Bourse 8.

Poznań, 19 sierpnia

(Uroczystość odsłonięcia pomnika generała Chanzego w Le Mans; mowa admirała Jaureguiberry i podobne głosy prasy niemieckiej; Francuzi na wystawie w Peszcie i nowe podziwliwości. — Umocnienie liberalistów angielskich w zwycięstwo podczas przyszłych wyborów i klęska Dilkego. — Blokada turecka wyspy Samos.)

W braku większego znaczenia faktów zajmuje się prasa europejska drobniejszymi wypadkami, jak uroczystością w Le Mans, o której już pisaliśmy. Jak naturalna, śledzą ją najpilniej argusowe oczy dziennikarstwa berlińskiego. Korespondenta „Kölnische Ztg“ razi najmocniej mowa byłego ministra marynarki francuskiej, admirała Jaureguiberry (zobacz rubrykę „Francya“): „Ze podczas tego rodzaju uroczystości — pisze on — wygłaszane bywają mowy polityczne, to nikogo nie zadziwia, ale wystąpienie męża, zajmującego niedawno temu urzędowe stanowisko, jest faktem, którego Niemcy lekceważyć nie mogą. Mowa p. Jaureguiberry jest — jak to same przynajmniej dzienniki francuskie, odpowiadają na znany artykuł „Nordd. Allg. Ztg“. Więcej jeszcze od tej mowy zakłopotano korespondenta organu nadreńskiego wzięcie udziału w uroczystości rosyjskiego attaché wojskowego, a głównie ta okoliczność, że kiedy tenże przybył na miejsce, z piersi licznie zebranych tłumów ludu jeden potężny zabrzmiał głos: „vive la Russie!“ Korespondent nie chce dopatrywać się w tym pojawieniu się barona Fredericksa demonstracji ze strony Rosyi, bo — jak pisze — generał Chanzy był ambasadorem Francyi w Petersburgu i z powodu swych zasad konserwatywnych wiele był tam ceniony, ale masy, jak się dalej wyraża, nie baczą na względy dyplomatyczne i w obecności przedstawiciela rosyjskiego widzą dalszy ciąg programu generała Skobieleva. „Nordd. Allg. Ztg“ nazywa mowę admirała Jaureguiberry raz fantasmagorią przyszłości, drugi raz wybrakami szowinistycznych zachcianek, pociesza się jednak tem, że wszystko, co wygłoszono przy pomniku Chanzego, odnosi się do przeszłości a wcale nie dotyczy teraźniejszości. Korespondent „National Ztg“ pisząc o mowie prezesa ligi patriotycznej, p. Dérouté, opowiada, że minister spraw wewnętrznych zażądał od tegoż, by mu ją najprzód przedłożył, co też nastąpiło. Ponieważ mowa była wprost przeciw Niemcom skierowana, przeto p. Allain Targé zakazał jej drukować. Dérouté zastosował się widocznie do rozkazu ministra, gdyż żaden dotąd dziennik francuski mowy jego nie ogłosił.

Dzienniki berlińskie sondują również głębia przyjaźni Francuzów do Austrii, głównie do Węgier. Francuzi byli w tych dniach na wystawie w Peszcie, z kąd razem z Węgrami zrobili wycieczkę do gór Karpackich, do Szmeksu. Tu i tam wygłaszano toasty bankietowe, w których mówcy wylewali swe osobiste afekta i wskazywali na negasancie nigdy uczucia, węzły przyjaźni i ten sam popęd do wolności, cechujące Francuzów i Węgrów. To bratanie się dwóch narodów nie podobna się prasie niemieckiej; ta i owa gazeta pruska dopatruje się w niem nawet chęci rozbicia sojuszu niemiecko-austriackiego. Dzienniki węgierskie protestują przeciw tej insynuacji w osobnych artykułach i zapewniają Niemców, że dane dla Francuzów bankiety nie mają znaczenia politycznego i nie zdołone są zachwiać przyjaźni Węgier do Niemiec. W tym samym duchu odezwał się i dziennik francuski „Temps“, a „Nordd. Allg. Ztg“, powtarzając jego artykuł, robiąc przy tem tę szczerzą uwagę, że spokojne ocenienie bankietów francusko-węgierskich ze strony „Tempsa“ nie przypadnie zapewne do smaku sentymentalnym politykom francuskim.

Prócz powyższych przytoczonych głosów dziennikarskich, ilustrujących nam dobrze panującą ciągle nieufność w stosunkach międzynarodowych, znajdujemy w dzisiejszych gazetach same tylko domysły i kombinacje już to w kwestyi afgańskiej, odwiezdzin hr. Kalnokiego w Warcinie, bliższego zjazdu dwóch cesarzy w Kromieryżu, już to w sprawie domniemywanego rezultatu wyborów we Francyi i Anglii. Co się tyczy terminu wyborów angielskich, jest tylko domysł, że odbędą się one w trzecim tygodniu listopada; ruch jednak wyborczy już się na dobre rozpoczął i dwa wielkie stronnictwa polityczne stanęły do walki. Angielscy liberali i radykali, chcąc natchnąć ufnością swych zwolenników, głoszą już dzisiaj pewny tryumf swęj partii. Tele-

gram jednak londyński, jaki w tej chwili odbieramy, może wiele ostudzić tę udawaną zresztą ufność stronnictwa liberalno-radykalnego. Wczoraj odbył się w Chelsea (przedmieście Londynu, stanowiące osobną gminę) miting, na którym wystąpił z mową Dilke, były członek gabinetu Gladstone i oświadczył, że oskarżenia i zarzuty, jakie mu czynią przeciwnicy, są fałszywe. W końcu zażądał Dilke, ażeby zgromadzenie przyjęło to jego oświadczenie bezwarunkowo. Tymczasem zebrani byli innego zdania i w powziętej jednogłośnie rezolucyi odrzucili jego żądanie. Telegram nie powiada, jakiego to są rodzaju oskarżenia, o jakich wspominał Dilke, domyślać się tylko można, że dotyczą one jego działania w czasie rządów liberalnego gabinetu. Bądź co bądź, rezolucya wyborców w Chelsea nie zapowiada partii liberalno-radykalnej zbyt wielkiego powodzenia podczas przyszłych wyborów.

Z Aten donosi telegram z dnia 17 b. m., że od dni jedenastu blokują okręty tureckie wyspę Samos na wybrzeżu azjatyckim a to pod pozorem przedsięwzięcia spisu ludności, w rzeczywistości zaś chodzi o pozabawienie wyspy przysługujących jej przywilejów. Maska ludności wyspy trudni się przeważnie wydobyciem gąbek, któremi prowadzi znaczny handel. Kobiety i dzieci zdjęte trwogą uciekają w góry. Zachodzi obawa, aby w razie dłuższej blokady nie wybuchł głód. Mieszkańcy wyspy wysłali zażalenie do mocarstw. Rząd grecki poczynił odpowiednie kroki w Carogrodzie. Ludność wyspy przypisuje zajęcie to nienawiści gubernatora Rodusa do chrześcian. — Sprawa ta nie zamęci zapewne pokoju na wschodzie, i to tem mniej, że o przyjaźni turecką ubiega się Anglia, a i Niemcy osłaniają państwo otomańskie potężną swą protekcją.

W sprawie wydalania.

Zaledwieśmy wczoraj donieśli, że 700 rodzin i osób z Kujaw otrzymało rozkaz opuszczenia granic z państwa pruskiego — alisci nowa jobowa wieść rozległa się po Poznaniu; w samej stolicy Wielkopolski 130 przeszło osób, nie licząc w to ich rodzin, otrzymało na dziś i jutro zapowazy na policya, gdzie im już oświadczone, albo jutro oświadcza, że najpóźniej do 1 października Poznań i granice państwa pruskiego opuścić mają. Wspominają pomiędzy banitami pana Nikodema Bierackiego, p. Lipińskiego i wielu innych, drugie tyle lęka się tego samego losu. Podobno liczba desygnowanych na wygnanie znaczne przybrała rozmiary.

Wszystko, co znamy z historii, niknie w obec tego, co się obecnie dzieje z nieszczęśliwymi rodakami naszymi.

Dawniejsze gromadne banicje miały swe źródło w chwilowym umiesieniu, w rozdrażnieniu nienawiści, fanatyzmu lub szału — dziś z zimną krwią i niezamąconym spokojem biurokracja pruska wydała setki ludzi najspokojniejszych, utrzymujących się uczciwie i placących podatki, wypędza ich od ziemi, a zmusza do tułactwa i włóczęgi po świecie.

Oby Pan Bóg położył kres tej niedoli, która boleścią napelnia serca tylu ludzi i goryczy ślad pozostawia po sobie.

Sto i trzydzieści rodzin — to najmniej około 400—500 osób, które za dwa miesiące pozabawione będą utrzymania, których ojcowie pozakładali tutaj warsztaty rękodzielnicze lub przemysłowe.

Są niezawodne w niektórych gałęziach przemysłu wyjątki, wymagające także i pracy niedzielnej; wyjątki takie są dozwolone, choć i tutaj bacznie należy, aby robotnika nie przeciążać, aby przez urządzenie zastępstwa umożliwić mu i zadośćuczynienie potrzebom religijnym i potrzebie spoczynku po pracy w gronie rodziny.

W Wielkopolsce nie znajdują poparcia te sfery, które się tutaj spodziewają znaleźć zwolenników pracy niedzielnej.

Święcenie niedzieli.

Mimo odradzań i opozycji katolików, którzy święcenie niedzieli uważają za

rzecz nie podlegającą rozprawom i badaniom, lecz płynącą z przykazania Bożego, zarządził książę kanclerz w tej sprawie t. z. „ankietę“, czyli śledztwo i szerokiemi korytem władz rządowych i miejskich płyną formularze z pytaniami, czy chlebowodawcy i robotnicy mogą i chcą święcić niedzielę, a jeśli nie, dla czego i w jakim zakresie w dzień święty pracować pragną.

Dodano także wezwanie, aby wymieniono tych chlebowodawców i robotników, którzyby w danym razie chcieli wziąć udział w konferencji, mającej się zająć zbadaniem tej sprawy — i to za wynagrodzeniem.

I w naszym mieście wielu (choć nie wszyscy) chlebowodawców, cechów i stowarzyszeń odebrało takie formularze z wezwaniem, aby do 25 bm. odpowiedzieli na zamieszczone tamże pytania.

Mamy nadzieję, że z Polaków i katolików nie znajdzie się ani jeden cech, ani jeden chlebowodawca, któryby wbrew przykazaniu Bożemu dnia świętego uszanować nie chciał.

Dzieją się niestety u nas tu i owdzie pod tym względem nadużycia, i świeżo jeszcze odebraliśmy z dóbr jednę z poważanych ogólnie pań naszych wiadomość, że urzędnicy tamtejsi systematycznie świętą gwałcą i ludowi robocznemu zajązają niedzielny spoczynku, — ale nadużycia te są ogólnie potępiane a gwałcenie dnia Bożego słusznie uznane jest za przeciwne wszelkim interesom tak religijnym i moralnym, jako też ekonomicznym. Dość przytoczyć przykład Anglii, która przestrzegając ściśle trzeciego przykazania Bożego, pod względem dostatków i majątku pierwsze między ludami Europy zajmuje stanowisko.

Ks. Bismarck sądził, że pomiędzy robotnikami, zagrzęzłymi w materializmie i żądniymi zarobku, znajdzie popleczników i zwolenników pracy niedzielnej. Tymczasem spotkał go zawód, gdyż po wszystkich wielkich miastach robotnicy jednomyślnie na walnych zebraniach oświadczyli się za spoczynkiem niedzielnym.

Udaje się tedy kanclerz do chlebowodawców, próbując, czy z tej strony nie nadejdzie dla niego pomoc, i choćby tylko pozór mogący służyć do dalszego uzasadnienia pracy niedzielnej.

Przemysłowcy, rzemieślnicy i robotnicy polscy nie ściągają na siebie zarzutu, jakoby zapomnieli o swych katolickich przekonaniach i obowiązkach i nie narażają się przy każdym ranym i wieczornym pacierzu na wyrzut sumienia, że rozmyślnie gwałcą przykazanie Boże: Pamiętaj, abyś dzień święty święcił!

Kto uważnie śledził ruch robotników, przekonana jest, że choć nie wszędzie z religijnych motywów, to jednakże ogólnie robotnicy oświadczyli się przeciw pracy w niedzielę. W Berlinie odbyło się w tych dniach zebranie czeladzi piekarskiej, na którym wszyscy mówcy bez wyjątku oświadczyli się za odstąpieniem od dotychczasowej praktyki. Powolne tepienie umysłowe i ruina fizyczna, brak swobody ducha — tak mówili czeladnicy, oto owoc nieustannęj pracy, bez wytchnienia, bez kościoła, bez rozrywki. Od 8 wieczorem w sobotę do drugiego po południu w niedzielę pracujemy bez przerwy — to więcej, niż siły człowieka znieść mogą. Przegłoszono tych, którzy przagnęli częściowego tylko zaprzestania roboty w niedzielę i przyjęto rezolucyą tej treści, aby dzień święty w całości święcono.

Niech to będzie nauką i przestroga dla tych z naszych chlebowodawców, którzy z ubocznych względów chcieliby się oświadczyć przeciw święceniu niedzieli, i niech ich powstrzyma od nierozważnego kroku. Robotnicy nasi żądają również wytchnienia, żądają uszanowania przykazania Bożego i kościelnych — nieuznanowanie tych zasadniczych prawd i podważanie społecznego porządku osłabiłoby w nich zaufanie do chlebowodawców i uczyniłoby ich przystępnymi różnym podszeptom i poduszeczeniom.

Są niezawodne w niektórych gałęziach przemysłu wyjątki, wymagające także i pracy niedzielnej; wyjątki takie są dozwolone, choć i tutaj bacznie należy, aby robotnika nie przeciążać, aby przez urządzenie zastępstwa umożliwić mu i zadośćuczynienie potrzebom religijnym i potrzebie spoczynku po pracy w gronie rodziny.

W Wielkopolsce nie znajdują poparcia te sfery, które się tutaj spodziewają znaleźć zwolenników pracy niedzielnej.

„Polscy Jezuiti“

nie pozwalają spać spokojnie „Warszaw. Dniownikowi“ — przedstawiając mu się jako straszne mary, dławiące prawosławnych Rusinów na Bukowinie.

Przed 10 laty było na Bukowinie 56,564 katolików łacińskich i 16,901 Unitów.

W roku 1880 było tam katolików łacińskich 64,447 — a Unitów 17,589.

Dziś, powiada „Dniownik“, liczyć można co najmniej 80,000 łacinników i 19,000 Unitów „w maleńkiej, prawosławnej, ruskiej Bukowinie.“

Pochop od tych statystycznych studyów dała „Dniownikowi“ apologia metropolity Sylwestra Andriewicza — znana już częściowo naszym czytelnikom. „Dniownik“ dawszy folę swym antyjezuickim niechęciom, zwraca się przeciw samemu metropolicie i czyni mu ostre zarzuty z powodu jego rumuńskich dążeń i głębień żywiułu rusińskiego.

Barczo bogaty prawosławny fundusz religijny na Bukowinie zużywany bywa prawie wyłącznie na cele rumuńskie, Rusinom odmawiają wszystkiego.

Na 405,136 prawosławnych mieszkańców Bukowiny jest Rusinów 222,101, a 182,849 jest Rumunów. Mimo to Rumuni wszędzie bywają protegowani — Rusini odpychani.

Pałac metropolity kosztuje 17 milionów złotych austriackich, metropolita i biskupi mają wspaniałe pensye, wydają wielkie sumy na objazd dyecezyi, na budowę cerkwi dla Rumunów.

„Wskutek tego pierwszeństwa prawosławnych Rumunów nad prawosławnymi ruskimi — pisze „Dniownik“ Warsz. — cerkwie i szkoły w ruskich wsiach na Bukowinie niezmiernie ucierpiały i cierpią teraz z braku fundusów. W obecnej chwili, w części rumuńskiej znajduje się mnóstwo wspaniałych murowanych cerkwi i klasztorów — w ruskiej zaś bardzo mało i to tylko w tych wioskach, gdzie zamieszkują obywatele rumuńscy i duchowni parafialni, odprawiający nabożeństwo w języku rumuńskim. Znaczna większość cerkwi w ruskich prawosławnych parafiach strasznie biedna; wiele z nich podobnych jest do stajni, ściany walą się ze starości; z powodu ubóstwa parafian, w dzwoniczach znajdują się zaledwie dwa, trzy, maleńkie dzwonki; książki liturgiczne słowiańskie zupełnie podarte, poplamione i niezdatne do użytku, albo zastąpione nowymi książkami rumuńskimi darowanymi przez czerniowiecki prawosławny konsystorz; w cerkwiach nie ma nawet podłogi, ani okien, tak biedni są parafianie, a z prawosławnego funduszu duchownego nie chcą wydać na restauracya tych upadających domów bożych ani jednego centa, dla tego tylko, że w cerkwiach tych odprawia się nabożeństwo w niemym dla Rumunów języku ruskim.“

Organ pana Szczebalskiego wnioskuje ztąd, że stósunki te nadzwyczaj ułatwiają „polskim Jezuitom“ na Bukowinie agitacyą katolicką, przeciw której narozno walczyć będzie metropolita Sylwester, dopóki nie pozbedzie się swych antyruskich uprzedzeń.

Dwa wiece na polskiej Warmii.

Zapowiedziane na dzień 15 i 16 b. m. dwa wiece szkolne dla Polaków na Warmii i to pierwszy w Olsztynie a drugi w Wartenborku, odbyły się według ogłoszonego programu.

Wiadomości o tem znajdujemy w „Gazecie Toruńskiej“, która jednakże dotychczas nie podała jeszcze szczegółów o wiecach samych, lecz sprawozdanie swego korespondenta poprzedza barwnym opisem kraju i ludzi.

„Warmia polska to dwa dekanaty dyecezyi warmińskiej: olsztyński i wartenborski, położone w powiecie olsztyńskim. Na północ ludność niemiecka, na wschodzie polska w kąciu powiatu reszelskiego w parafiach Biskupiec (Bischofsburg) i Biesowo (Gr. Boesau), dalej ludność mazurska polska w powiatach sońborskim i szczywieńskim, od południa zaś takąż sama ludność w powiecie nidborskim, która i od zachodu w powiecie ostródzkim Warmian polskich otacza. Nie wielka odległość, bo z Torunia do Olsztyna w srodek polskiej Warmii ledwo 170 kilometrów, ledwo 4 godziny jazdy pociągiem pospieszonym, a jakże mało zna-

my i znani jesteśmy w tej dzielnicy i między jej polskimi dziećmi!

To też ludność ta żyje prawie zupełnie za światem polskim. Czém się wzbogaciła nasza literatura, polska nauka, polskie myślenie i ubożyczenie, dla Warmii wcale tego nie ma na świecie, bo brak jej było i brak jej zawsze jeszcze wszelkiego związku z naszym światem umysłowym. Raz po raz zabląka się tam polska książka, polskie jakie pismo, ale to kropla w morzu, biały kruk w wielkich chmarach czarnych. Miał Mazur przeszarżowany ongi z katolicyzmu na protestantyzm swoje biblię, swoje kanony i postyle polskie z 16 i 17 wieku, a jako protestanta pogodzonego następnie z kościołem rządowym ewangelickim w Prusach, pozostawiono go w pokoju, dawano mu pastorów po polsku mówiących, którzy na staręj polszczyźnie z czasów polemicznych się kształcili coraz więcej i odzyskali się do ludu jego jedyną mową wieku skargowskiego, po szkołach tego samego uczyć mazurską diałtaw. Nie miał tego Warmianin. Katolik prawowierny trzymał się swoich duszpasterzy, a ci wykształcenie swoje czerpali po szkołach, liceach i seminariach niemieckich, z niemieckiej literatury brali ideały i na to usilność swoje kładli, aby w najlepszym razie toczyć z niemieckiego to dla swoich parafian, co tam polubili, co za szczyt doskonałości uznawali. A jakie to bywały te tłumaczenia?

Gwara mazurska, kaszubska, górnośląska — wszystkie one niczém w porównaniu z korupcyą, do jakiej doszła mowa poczciwego ludu warmińskiego. Ludzi inteligencyi i wyższego wykształcenia lud ten między sobą (mówiąc o Polakach) nie posiada od dawna. Szło z pośród jego dziatwy nie mało młodzieży do szkół wyższych i kończy je zwykle chlubnie, ale idą, aby nie wracać, aby powiększać szereg niemieckiej inteligencyi, niemieckich uczonych i urzędników, po rozmaitych dykasteryach. Już tam szkoły postarają się o to, aby w nich zaszczerpieć odrazę do narodowości i mowy polskiej. Takich wyjątków, jak np. Samuel Maciejowski, profesor Pietraszewski (tłomacz Zendawesty, zmarły przed kilkunastu laty w Berlinie), jak wreszcie w najnowszym czasie dr. Sieniawski, bardzo mało.

Im więcej ludowi temu zachwalano wykształcenie i naukę, im więcej przekonawano go o potrzebie kształcenia dzieci i promowania ich na ludzi, tem więcej narażano go na ofiarę własnej krwi i własnych sił narodowych. Nęcąca nauka wyższa była tu czémś podobnym do owej piszczałki łowiszczura z Hameln, który wyprowadził dziatwę z miasta i zatopił, czy zatracił na zawsze.

Dzisiaj polska ludność warmińska to sam lud roboczy, czy to różniczy wiejski, czy rzemieślniczy po miasteczkach. Przywódcami jego włóścianie, gburzy po tamtejszemu, kmiecie po naszymu, którzy sami za sobą chodzą, a początki swego wykształcenia z prostej szkoły wiejskiej dopełniali pisaniami gdzie w jakim biurze policyjnym, w wojsku jako podoficerowie, a wreszcie sami w domu przez czytanie tego z polskich książek lub pism czasowych, co im tam szczęśliwy przypadek nadarzył.

A jest to lud dziwnej głębokości uczuć. W pamięci swojej chowa mnogie podania, do miejsc historycznych przywiązuje się nieprzeżyty pamięcią, w opowiadaniach swoich oplata je wieńcem bohaterkich postaci i tragicznych wypadków, jak o trzech krzyżach pod Olsztynem, gdzie Władysław Jagiełło pobit w ponownej rozprawie Krzyżaków. Czując ciężar swęj doli, łączy z tem przepowiednie i wiarę w lepszą przyszłość. Ziemię swoje ustroił w wysokie krzyże z wizerunkiem Zbawiciela i w przeliczne kapliczki w najrozmaitszych kształtach, oddając część i Pannie Najświętszej i Świętym Pańskim, a znacząc tem zarazem miejsca, których pamięć przagnął zachować.

Lud ten zamieszkuje przeliczny kawałek ziemi, jakby na olbrzymim park przetrząconym. Pagórki i smugi, łączki i strumyczki, tam rzeczulka, tam stawek, a to wszystko przeplatane laskami jodłowemi, za nimi zaś szumi rzeczka i blyszczy z dala jezioro, w którym się ciemny bór drzew liściowych przegłada i kłania za lada wiatrem kępom wśród wody. Siola liczne i kościelnych wieżyc widać w około wiele, a wieś wsi rękę podaje i w tańcach wielki je wiąże licznymi zabudowaniami włóścian i chałupników, osiadłych po nad smuzkami i strumykami. Ziemia piękna, jak do malowania dla

krajobrazisty, ale urodzajna i wdzięczna dla rólki. Potrzeba ciężkiej, wytrwałej ręki i niezrażonej odwagi, bo i klimat przekorny i grunt zimny i jałowa gleba, wymagająca ciągłych starań człowieka, których często nie oplaca, a nawet zbyt często zawodzi.

Lud to pracowity, w wymaganiach swoich skromny, na uboczu żyjący, a tąd nie znający jeszcze potrzeb i zbytków, które ogólny ruch dzisiaj tak szybko po świecie roznosi, nie dostarczając w równej mierze i środków do zarobku, któryby odpowiadał podrażnionej chęci używania.

Olsztyn, który, lubo miasto powiatowe, do niedawna nie dorównywał Wartenborkowi, liczącemu dziś 5000 mieszkańców, podskoczył nagle przez osadzenie tam kilku wyższych urzędów do nieposledniego rozwoju. Jest tam sąd ziemski, urząd kolei żelaznej na cały obwód północny, a koszar i wojska co nie miara, piechoty i konnicy.

Podąża za tym przemysł i handel, poczynając po wielkomiastu od obszernej budowy i wystawnie urządzonej sklepów i składów (Packammer tam zwanych zamiast zwykłego „Lager“ lub „Magazin“). Daj mu Boże szczęście, ale powiadano mi, że już się poczynają bankructwa z interwencją ostrą prokuratora i że to dopiero małe początki wśród wielkiej burzy.

W tym tedy Olsztynie, do niedawna zupełnie polskim, a i teraz jeszcze nie mniej polskim od wielu miast w samej Wielkopolsce, popieszyłem w sobotę dnia 15 marca do obozu Rogali na pierwszy wiec polski na Warmii.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla czego centrum opuszcza konserwatystów?

Odezwa wyborców katolickich w pierwszym okręgu wyborczym nasawskim na korzyść kandydata postępowego wywołała znowu pytanie w prasie zachowawczej i narodowo-liberalnej: „Na jakiej frakcji ciąży wina kompromisu centrum z wolnomyślnymi? Konserwatysty i narodowcy zwalają na siebie wzajemnie winę. Każdemu katolikowi wiadomo, że katolicy niemiecacy popierają postęp przeciw narodowcom dla tego, że wolnomyślni więcej szanują swobodę Kościoła, i to nie tylko w czczych słowach, lecz i w głosowaniu. W tym leży cała tajemnica; do tego należy dodać, że katolicy niemiecacy chcą zapobiedz utworzeniu partii pośredniej, która ich chce ubezwładnić. O ile konserwatysty oddają się duszą i ciałem w służbę partii pośredniej, o tyle i ich upadek leży w interesie katolików. Jeżeli teraz prasa zachowawcza w potęgimie przeciw narodowcom głosi: „my konserwatysty nie daliśmy powodu do sojuszu katolików z wolnomyślnymi“, widąc w tym taki brak samopoznania, że trzeba konserwatystom w zwiernie pokazać wierny obraz ich fizjonomii. Konserwatysty nie są bynajmniej tak niewinnymi barankami, za jakichby uchodzić chcieli. Pominiemy tutaj przepaść, dzielącą ich od centrum na polu czysto politycznym, społecznym i podatkowym. Centrum nie chce mieć udziału w reakcyjnym ukróceniu praw reprezentantów narodu, ani w państwowo-społecznych projektach rządu, ani w podwyższeniu

podatków, w których widzi tylko rozrzucenie. Ponieważ wolnomyślni na tych wszystkich polach tworzą jednomyślną z centrum opozycją, dla tego też, pominawszy powody kościelno-polityczne, katolicy popierają ich od przypadku do przypadku, w danych okolicznościach nawet przeciw konserwatystom, czyli właściwie rządowcom. Były wprawdzie niedgdyś czasy, i to nie zbyt dawno temu, w których centrum przy wyborach posiłkowało zachowawców. Ze teraz jest inaczej i że centrum woli w wielu rzeczach głosować na wolnomyślnego, temu winni jedynie konserwatysty. Nie centrum się zmieniło, lecz konserwatysty, którzy katolikom nigdy się nie wywdzięczyli za doznana pomoc, lecz owszem sprzymierzali się z największymi wrogami przeciw temuż centrum, a wyrodzili się na czysto rządowe figury, w sprawie każdemu katolikowi najdroższej wrogie zajęli stanowisko. Przejście konserwatystów do obozu katolików, wyświecone tak jaskrawo w szeregu podługawczych artykułów, które główny ich organ ogłaszał w sprawie paderborskiej, rozpoczyna się od daty ogłoszenia hasła heidelbergkiego i oświadczenia konserwatystów, że centrum staje się zbytecznym.

W mniemaniu, że centrum do utworzenia większości stanie im się niepotrzebnym, sądzili konserwatysty, że odtąd nie będzie potrzeba uwzględniać jego żądań kościelno-politycznych, a skoro wiec protestanci nazwał Papieża antychrystem a Stoecker wszystkich protestantów od Kłajpedy do Trewiru powołał do walki z Rzymem, odsłonił twarz i unieważnił dawniejsze swe oświadczenia i żądania w dziedzinie kościelno-politycznej.

Całe zeszlorzeczone działanie kościelno-polityczne konserwatystów było napiętnowane niechęcią do naszego Kościoła. Zakładali się, że pragną pokoju, a czyniły zadawały kłam ich słowom. Rzućmy okiem na przeszłoroczną ich czynność, aby się o tym przekonać. Dnia 18 stycznia 1884 głosowali postępowcy razem z centrum za obradami komisijnymi nad wnioskiem Reichenspergera, żądającym przywrócenia trzech paragrafów poręczających wolność Kościoła. Cóż uczynili zachowawcy? Spowodowali upadek wniosku, oświadczywszy przez Althausa, że „takie przywrócenie nie jest właściwą drogą do wytworzenia pokoju kościelno-politycznego.“ Żądali uregulowania sprawy na drodze specjalno-prawodawczej, i stanęli eo ipso na gruncie wszechwładzy państwowej, wypowiadając żądanie, aby rząd uregulował politykę kościelną bez udziału Rzymu. Wszakże na tym samym gruncie wyrosły wszystkie ustawy Falkowe! Ten krok ujawnił ich bezwarunkowe i całkowite przejście do obozu stronników walki kulturalnej, a wszystkie późniejsze głosowania, tak opokarzające dla katolików, były tylko dalszymi krokami na tej samej drodze.

Dnia 5 marca odrzucił 209 głosami przeciw 152 wniosek Windthorsta, żądający zniesienia ustawy obrocnej; z centrum głosowało tylko 18 konserwatystów przeciw temu prawu wyjątkowemu. Dnia 17 maja odrzucił sejm 168 głosami przeciw 116 wniosek Windthorsta, domagający się organicznej rewizji prawodawstwa majowego. Tą razą nawet tylko

10 zachowawców głosowało za przywróceniem pokoju kościelnemu; inni oświadczyli, że na to jeszcze nie przyszedł czas.

Prawda, że 11 czerwca 1884 zniesiono ustawę banicijną 217 głosami przeciw 40; ale skoro rada związkowa odmówiła uchwały parlamentu swę sankcyi a ks. Bismarck odmowę poparł swą obroną, konserwatysty wyparli się powziętych dnia 3 grudnia uchwał; z wyjątkiem dwunastu sprzeniewierzyli się katolikom. Ich opuszczenie sztabu, ich wyparcie się dawniejszych zasad było tém dziwniejszem, że nie uchroniło kanclerza od wstydu i potępienia ustawy proskrypcyjnej.

Tyle więc głosowań, tyle zeszlorzeczonych ciężkich grzechów można położyć na karb konserwatystów; czyż co zapowiada, że w roku bieżącym wybrną z błota, w którym tak głęboko ugrzęźli? Jeżeli przeto jeden z ich dzienników przypomina, że zawsze przemawiał za „gruntowną rewizją praw majowych“, są to tylko czcze słowa i czysta obłuda, bo fakta kłam mu zadają. Przeważna większość konserwatystów przyswoiła sobie w walce kulturalnej program wrogów katolicyzmu. Niechże się więc nie dziwią, że katolicy płacą im pięknym za nadobne.

Wśród Polaków.

II.

Podajemy dziś wedle petersburskiego „Kraju“ dalszy ciąg rozmowy, jaką „przygodny“ korespondent „St. Petersburgskich Wiadomości“ miał z konserwatystą Polakiem.

Wspomniałszy o pierwszych krokach podjętych na rzecz powstania, o obietnicach z zagranicy, o niedoleżeniu szefa tajnej policyi Paulucci'ego, który sprawę tę lekkożylnie traktował — dowodzi interlokutor owego korespondenta, że Towarzystwo kredytowe w tym czasie najspokojniej pracowało nad przeprowadzeniem zbawiennych reform i uspokajało wzburzone umyły. Oto jego słowa:

„Hrabia Andrzej Zamojski, wychowany w Anglii i przejęty angielskimi idealami agrarnymi, pragnął był przeszczerzyć je nasz grunt, proponując zmianę pańszczyzny na dzierżawę dziedziczną; hrabia atoli, wbrew temu szacunkowi, jakim się cieszył w kręgach obywatelskich, ujrzał się prawie samotnym z projektem swoim; ogromna większość towarzystwa przemówiła za zmianą pańszczyzny na czynsz, ze stopniowym wykupem ziem włościańskich. Zamiast opłaty pracą, którą nam dawał włościanin za użytkowanie schedy i gruntu, postanowiliśmy brać odeń pieniężne opłaty czynszowe, dając mu jednocześnie możność stopniowego wykupienia swojej schedy na własność zupełną, za pośrednictwem projektowanego na ten cel banku. W taki sposób przagnaliśmy osiągnąć te samą wielką reformę socjalno-ekonomiczną, do jakiej dążyła też Rosya, t. j. do nadziału włościanom ziemi, z tą jedynie różnicą, że o wyzoleniu osoby włościańskiej nie mogło u nas być nawet mowy, albowiem prawo poddaństwa w Królestwie nie istniało, i że stosunki patrymonialne pomiędzy panem i chłopem staraliśmy się rozwikłać, nie zaś rozciąć, kierując się przy tym, zawierz mi pan, bardziej pobudkami społeczno-pedagogicznymi, niż stanowo-ekonomicznymi. Margrabia Wielopolski sko-

rzystał z wypracowanych przez nas zasad reformy, nadał im kształty i zaczął przeprowadzać w życie; ale tuż nastąpił czas wielce niespokojny: agitacja wciąż się potęgowała i rozpowszechniała, powstawały kółka, w których wprost głośno nieodwołność organizacyi rewolucyjnej i powstania, do kraju zjeżdżali coraz liczniejsi i poważniejsi emisariusze; byli to nie sami już tylko mikroslawcy; lecz tajni delegaci także z „Hotel Lambert“, Adama Czartoryskiego, którzy zapewniali, że Napoleon III szczerze współczuje myśli o Polsce niepodległej, w której upatruje „Włochy północy.“

Tego rodzaju gawędy wywierały nadzwyczaj potężne wrażenie i powstanie zyskiwało sprzymierzeńców, gdy tymczasem nasz program pokojowy, przy którym my, pomimo emisariuszów, trwałymi wciąż stanowczo, uległ krytyce zapalczywej. Nie traciłmy wszakże nadziei powstrzymania jeszcze narodu od próby rewolucyjnej, i niektórzy z nas zawierzyli stosunki z przywódcami agitacyi, rachując na możność oddziaływania w duchu pokojowym, na możność przekonywania ludzi o próżności ich widoków i wykazywania, jak olbrzymim nieszczęściem byłoby powstanie w razie niepowodzenia, które, naszym zdaniem, było więcej niż prawdopodobne. Sam raz trafilem na zgromadzenie kółka rewolucyjnego i wygłosiłem tam mowę, wykładając w niej wszystkie argumenty przeciwko rewolucyi. Należy oddać słuszną zgrozadzeniu: wysłuchało mnie ono spokojnie i wbrew oczekiwaniom nie nazwowało mnie ani tchórzem, ani zdradca. Gdy jednak skończyłem, jeden z przywódców kółka odparł mi krótko i wżetowało:

— Pan rozumiesz gruntownie, ale gdy świnia zalezie do grochu, nie wypędzi już jej ztamtąd duchem.

Zgromadzenie na tę odpowiedź charakterystyczną zagrzmiło oklaskami, dając mi przez to do zrozumienia, że sprawa już za daleko zaszła, ażeby się można cofnąć, i nikt mnie dalej słuchać nie chciał.

Towarzystwo różnicze zostało zamknięte na odgłos pierwszych wstrząśnień rewolucyjnych, w których my wszakże nie braliśmy udziału i rozjechałmy się do domów, utrzymując się cały czas w oddaleniu od ruchawki, pomimo komunikowanych nam po sto razy podługających słów Napoleona. Niekiedy z nas ostatecznie zachwiali się w obec zachęty tego rodzaju, a następnie wobec noty mocarstw zagranicznych i wreszcie działalności agitacyjnej angielskiej i austriackiego konsulów w Warszawie; ten i ów zaczął wierzyć w możność wyzwolenia kraju z pod obcego panowania; a jednak pomimo to wszystko, żaden z wpływowych członków zwiniętego towarzystwa różniczego czynnego udziału nie brał, i siedząc po wsiach swoich, byliśmy tylko teroryzowani już przez oddziały powstańców, przeciągające przez nasze majątki, już przez wojska rosyjskie... A jednak, po silnemiu rewolucyi odpowiadać za nią wypadło en premiere ligne naszemu stanowi. Milutyn, a szczególnie książę Czerkaskij, uparliwali w nas właśnie główny w niej szaniec, chociaż, powtarzam to, opierałmy się ję przed ję nastąpieniem i zachowywalmy się biernie, gdy ona rozszalała. Za grzechy emigracyi, Napoleona, młodzieży i klas wiejskich, musieliśmy płacić my, szlachta ziemiańska. Reforma włościańska, rozumnie przez nas rozpoczęta, i w części uskutecziona według naszych wskazówek, w sposób zupełnie zgodny z miejscowymi warunkami żywiołami, raptownie została przeciwko

nam zwróconą i względy polityczne usunęły na tylny plan wszystkie ekonomiczne podstawy. Nadział włościanom ziemi, oddanie im na własność wszystkich gruntów, które z dawniej dawni oni użytkowali — to rozstrzygnięcia już sami, ale komitet organizacyjny i komisarze włościańscy mieli na celu nie tę myśl jedynie, lecz po prostu celem ich było zrujnowanie szlachty polskiej, chociaż ona jest przedstawicielką zasady zachowawczej, i wzbogacenie kosztami szlachty chłopu polskiego, chociaż ten, pod względem politycznym, jest pierwiastkiem zgola jeszcze niewypróbowanym. W powyższych widokach nadziały w wielu majątkach zostały wycięte na poczekaniu; majątki traćły po 70 i 80 procentów wartości swojej, w niektórych z majątków gospodarstwo racjonalne stało się niemożliwym, w skutek szlachowni i ciężarów służebnościowych; ziemię oszacowano o wiele niżej od jej wartości istotnej i wyplacono za nią nie pierwiastki, lecz listami wykupnymi, które kursowały na giełdzie po 60 od 100. Takim sposobem bardzo wielu z naszego stanu, nazajutrz po powstaniu, do którego ręki swę nie przyłożyli, ujrzeni się w nędzy; chłop zaś nadszpedzanie otrzymał podarunek, nie potrafił się nim rozporządzić jak się należy, powziął to wyobrażenie, że wszystko może posiadać za pomocą ukazów, i wyczekiwał wciąż dalszych podarunków od władzy wyższej, a ponieważ oczekiwaniu takiemu bądź co bądź nie może się stać zadość, więc oczywiście wcześniej lub później rozczarowanie nastąpić musi i wszelkie rachunki na niezachowane jego oddanie się rządowi rosyjskiemu okazały się chwiejnemi; chłop nasz bowiem nie rychło jeszcze zrozumie, jakie mianowicie interesu mogą skłaniać Polaka do konserwatywnego zachowania się względem związku pomiędzy Polską a Rosyją.

Korespondencye Kurjera Pozn.

Ołomuniec, 17 sierpnia.

(Zjazd dwóch cesarzy w Kromieryżu.)

Zapewniają tu teraz, że zjazd cara z cesarzem w Kromieryżu nastąpi 24 bm.; jednakże dotąd chwila przybycia cara z wiadomych powodów nie jest urzędowo naznaczona. Cesarz Franciszek Józef z cesarzową wjadą do pałacu arcybiskupiego przez miasteczko Kromieryż, którego ulice przyozdobiono łukami tryumfalnymi. Car zaś podobno wprost z dworca przez ogród zajędzie do pałacu. Dyrekcyje kolei żelaznych północnej (od Granicy do Przerowa) i wicyalnej (z Kulein do Kromieryża) przedsięwzięli najrozmaitsze środki ostrożności, aby czasem pociąg carski nie wyleciał w powietrze, choć trudno przypuścić, aby nihiłiści rosyjscy ścigali go aż do Kromieryża.

Podobno ani hr. Taaffe, ani p. Tisza nie będą uczestniczyli w zjeździe. W każdym razie hr. Taaffe zrobi dobrze, jeżeli nie pojedzie do Kromieryża. Bo mniejsza o to, że Galicya w ciągu ostatniego 6-lecia ciągle popierała obecny gabinet, nie otrzymawszy za to żadnej nagrody; ale gdyby jeszcze u nas zaczęło się domyślać, że hr. Taaffe staje się przystępnym wpływom rosyjskim, to wreszcie wszyscy straciliby ochotę popierania dalej obecnego rządu. W Kongresówce obecnie system w y n a r o d a w i a n i a sta-

kańczugiem Soroki; kazano mu praktykować pokorę i to było jeszcze cięższe, bo ję w sercu nie miał; przeciwnie, pychę miał i chępliwość — kazano mu wreszcie uczynkami cnotliwymi poprawę stwierdzić, ale to znów było najłepsze. Sam niczego więcej nie pragnął, nie poządał. Cała dusza młoda, ognista, rwała się w nim ku uczynom, bo oczywiście widząc przez uczynki rozumiał wojnę i bicie Szwedów od rana do wieczora, bez spoczynku i miłosierdzia. A właśnie jakże piękna, jakże wspaniała otwierała się do tego droga. Bie Szwedów nie tylko w obronie ojczyzny, nie tylko w obronie pana, któremu wierność poprzysiął, ale jeszcze w obronie Królowej Anielskiej, było to szczęście nad jego zasługę. Gdzieś się podziały te czasy, gdy stał jakoby na rozdrożu, pytając się siebie, którądy iść, gdzie te czasy, w których nie wiedział, co począć, w których wszędy spotykał się ze zwątpieniem i sam począł tracić nadzieję. — A przecie ci ludzie, te białe mnichy i ta garść chłopów i szlachty gnotowali się po prostu do obrony, do walki na śmierć i życie. Jedyny to był kąt taki w Rzeczypospolitej i właśnie pan Andrzej do niego zająchał, jakoby go jaka szczęśliwa gwiazda prowadziła. Bo przytęm wierzył świecić w zwycięstwo, choćby cała potęga szwedzka miała otoczyć te mury. W sercu miał tedy modlitwę, radość i wdzięczność. W tym usposobieniu chodził po murach z własną twarzą, rozpatrywał się, przyglądał i widział, że dobrze się dzieje. Okiem znawcy wnet poznał z samych przygotowań, że czynią je ludzie doświadczeni, którzy potrafia pokazać się i wówczas, gdy przyjdzie do sprawy. Podziwiał spokojnie księdza Kordeckiego, dla którego głębokie powziął uwielbienie, podziwiał stateczność pana miecznika sieradzkiego, a nawet pana Czarnieckiego, choć mu mrużono na niego było, nie pokazywał krzywego oblicza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POTOP

PRZEZ HENRYKA SIENKIEWICZA.

TOM TRZECI.

(Ciąg dalszy. — Zob. nr. 187.)

Rozdział XIII.

Nazajutrz zrana dziwny i niezwykły ruch zapanował w klasztorze. Bramy były wprawdzie otwarte i nie tamowano przystępu poboznym, nabożeństwo odbywało się zwykłym trybem, ale po nabożeństwie nakazano wszystkim obcym opuścić obręb klasztoru. Sam ksiądz Kordecki w towarzystwie pana miecznika sieradzkiego i pana Piotra Czarnieckiego oglądał szczegółowie blanki i skarpy, podtrzymujące mury z wewnątrz i z zewnątrz. Nakazano też tu i owdzie poprawki; kowale w mieście dostali rozkaz przygotowania oseków, dzid, poosadzanych na długich dragach, kos sztorcem na drzewach zatkniętych, maczug i kłód ciężkich, nabijanych hufnalami. A ponieważ wiedziiano, że i tak w klasztorze był znaczny zapas podobnych narzędzi, wnet też poczęto gadać po całym mieście, że klasztor rychłego oczekuje napadu. Coraz nowe rozporządzenia zdawały się potwierdzać tę pogłoskę.

Pod noc dwustu już ludzi pracowało wedle murów. Ciężkie działa, przyslane jeszcze przed oblężeniem Krakowa przez pana Warszzyckiego, kasztelana krakowskiego, w liczbie dwunastu osadzone na nowych lawetach i rychtowano odpowiednio. Z lamusów klasztornych zakonnicy i pacholkiwie wynosili kule, które układano w stosy przy armatach; wytaczano jaszcze z prochem, rozwijevano spopy muszkietów i rozdawano je między załogę. Na wieżach i narożnikach stanęły straża, mające dawać dniem i nocą pilne baczenie na okolicę; oprócz tego ludzie wy-

slani na zwiady rozjechali się po okolicy do Przystajni, Kłobucka, Krzepic, Kruszyny i Mstowa. Do obfite i tak zaopatrzonych spiżarni klasztornych szły zapasy z miasta, z Częstochówki i innych wsi do klasztoru należących.

Pogłoska gruchnęła jak grom po całej okolicy. Mieszczanie i chłopci poczęli się zbierać, a radzić. Wielu nie chciało wierzyć, aby jakikolwiek nieprzyjaciel śmiał targnąć się na Jasną Górę. Twierdzono, że sama tylko Częstochowa ma być zajęta; lecz i to już wzburyło umyły, zwłaszcza, gdy inni przypominali, że przeciw Szwedzi są heretykami, których nie nie wstrzyma i którzy umyślnie afront Najświętszej Pannie uczynić gotowi.

Więc też wahano się, wąpiono i wierzono na przemian. Jedni lamali ręce, oczekując straszliwych zjawisk na ziemi i niebie, widocznych zjawisk gniewu bożego; drudzy pograżali się w beznadziej i niemęły rozpacz; trzeci gniew chwytali nadludzki, jakoby głowy ich zajmowały się płomieniami. A gdy raz fantazy ludzka rozwinęła skrzydła do lotu, zaraz poczęły krążyć wieści co raz inne, coraz bardziej gorączkowe, coraz potworniejsze. I jak gdy kto w mrowisko kij zanurzył, lub żaru narzucił, natychmiast wysypują się niespokojne roje, kłębią się, rozbiegają i zbiegają, tak zawrzało miasto i wsie okoliczne.

Po południu gromady mieszczan i chłopstwa wraz z niewiastami i dziećmi opasywały mury klasztorne i trzymały je jakby w oblężeniu, płacząc i jęcząc. O samym zachodzie słońca wyszedł ku nim ksiądz Kordecki i pograżywszy się w cizbę, pytał:

— Ludzie, czego tu chcecie?

— Chcemy na załogę iść do klasztoru, Bogarodzicielki bronieć! — wołali mężczyźni, potrząsając cepami, widłami i inną bronią wieśniaczą.

— Chcemy na Najświętszą Pannę ostatni raz popatrzeć! — jęczały niewiasty. Ksiądz stanął na wzniesionym zwałom skały i rzekł:

— Bramy piekielne nie przemogą mocy

niebieskich. Uspokójcie się — i otuchy w serca nabierzcie. Nie wstąpi noga heretyka w te święte mury, nie będzie luterski, ani kalwiński zabobon guel swych odprawował w tym przybytku czci i wiary. Nie wiem zaiste, ażeby przyjdzie tu zuchwały nieprzyjaciel, ale to wiem, iż gdyby przyszedł, ze wstydem i hańbą odstąpić musi, bo moc jego większa moc pokruszy, złość jego zlamie się, potęga startą będzie — i odmień się szczęście jego. Otuchy w serca nabierzcie! Nie ostatni raz wy tę Patronkę naszą widzicie — w większej oświeceniu chwale oglądaj ją będziecie i nowe cuda ujrzycie. Nabierzcie otuchy, otrzyście lzy i wzmoćnijcie się w wierze — gdyż powiadam wam, — a nie ja to mówię, — jeno Duch Boży mówi przezemnie — że nie wędzie Szwed do tych murów — laska zjad spłynie i ciemności tak nie zagaszą światła, jako ta noc, która się dziś zbliża, bożemu słońcu jutro wstać nie przeszkodzi! —

A właśnie zachód był. Ciemność powlokła już okolicę, jeno kościół gorzał czerwono w ostatnich promieniach słońca. Widząc to ludzie, pokleklali w około murów i otucha zaraz spłynęła w ich serca. Tymczasem na wieżach poczęto sygnować na Angelus. Ksiądz Kordecki rozpoczął śpiewać: „Anioł Pański“ a za nim tłumy całe. Stojąca na murach szlachta i żołnierze polaczyli z nimi swe głosy, dzwony większe i mniejsze dzwoniły do wtóru, i zdało się, że cała góra śpiewa i brmi jak olbrzymie organy na cztery strony świata głośnie.

Śpiewano do późna; odchodzących błogostawiał na drogę ksiądz Kordecki — wreszcie rzekł:

— Który z was w wojnie służywał, z bronią umie się obchodzić i serce czuje mężne, niech jutrzejszego rana przyjdzie do klasztoru.

— Jam służył, ja w piechocie byłem, ja przyjdę — wołali liczne głosy.

I tłumy rozplynęły się zwolna. Noc zeszała spokojnie. Wszyscy zbudzili się z radosnym okrzykiem: „nie ma Szweda!“ Jednakże rzemieślnicy zwozili cały

dzień zamówione roboty. Wyszedł też rozkaz do kramników, którzy zwłaszcza przy wschodnim murze mieli swe kramy, aby towar do klasztoru znieśli, a w samym klasztorze nie zaprzestawo pracy przy murach. Ubezpieczono zwłaszcza tak zwane „przechody“, to jest szczuple otwory w murach, które nie były bramami, a które mogły służyć do czynienia wycieczek. Pan Rożyc-Zamojski kazał je zakładać belkami, ceglami, nawozem, tak, aby w danym razie łatwo od wewnątrz mogły być rozgrodzone. Cały dzień też ciągnęły jeszcze wozy z zapasami i żywnością, zjechało także kilka rodzin szlacheckich, które potrwola była wieść o bliskim naciągnięciu nieprzyjaciela.

Koło południa wrócili ludzie, wysłani zeszedło dnia na zwiady, ale żaden nie widział Szwedów, ani nawet nie słyszał o nich, prócz o tych, którzy najbliżej w Krzepicach stali. Nie zaniechano jednak w klasztorze przygotowań. Wedle rozkazu księdza Kordeckiego naciągnęli ci z mieszczan i chłopów, którzy poprzednio w piechocie służyli i ze służbą byli obznajmieni. Oddano ich w komendę panu Zygmunutowi Mosińskiemu, pilnującemu, północno-wschodniej baszty. Pan Zamojski zaś cały dzień rozstawiał ludzi, przyuczał, co kto ma czynić, lub narażał się w rezerwarzu z Ojcami.

Kmicic z radością w sercu patrzył na przygotowania wojenne. Na musztrujących się żołnierzy, na działa, stopy muszkietów, luków, dzid i oseków. To był jego żywioł właściwy. Wśród tych groźnych machin, wśród krzątający, przygotowań i gorączki wojennej było mu dobrze, lekko i wesole. Było też lżej i weselej, że generalna spowiedź z całego życia odbył, jak czynią konający, i nad spodziewanie własne, rozgrzeszenie otrzymał, bo kapłan zważył jego intencją, szczerą chęć poprawy i to, że już na tę drogę wstąpił. Tak więc zbył się pan Andrzej brzemieniem, pod którym już prawie upadał. Pokuty zadano mu ciężkie i co dzień grzbiec jego krwawił się pod

